

ideały mu, poezya w głowie... spoważnieje, nabierze doświadczenia, życie go dużo nauczy, a wtedy zobaczymy.

I tak bez końca...

Tymczasem faktem jest, że w ciągu szeregu lat zmieniło się życie, ale me wytyczne się nie zmieniły.

Z dumań moich, marzeń i snów błękitnych w mym zacisznym pokoiku wstawałem trzeźwy, trzeźwiejszy może nawet, niż poprzednio i szedłem za miasto, na wieś, do mego ulubionego domu ludowego i tam zasiadałem do kilkogodzinnej nieraz pracy. Urządziłem w tej wsi sam jeden czytelnik, kółko teatralne... a w tym roku właśnie zorganizowałem sklep, oparty na współdzielczości.

Sklep polski, wie pani... polski sklep u nas... w polskiej wsi... sklep własnością chłopca, który go już z rąk nie wypuści... tu siła, tu przyszłość. Sklep się znakomicie rozwija, ludzie się cieszą jak dzieci...

Czy nie pracujemy realnie, trzeźwo?

A przed mym wyjazdem kupiłem za ostatni grosz kilka egzemplarzy poezji Mickiewicza, Kurasia... i... wie pani co... na złość „realistom“ zaniósłem na wieś... niech się uczą poezji!

A teraz powie mi znowu ktoś „starszy“ — lepiejby pan się uczył. Wszak u nas to zdanie tak popularne... niech każdy pilnuje swego! To jest pokrywka, pod którą się ukrywa nasze lenistwo, a my to nazywamy rozumem! W studiach mych nie zaniedbałem się zupełnie, owszem w tym roku będę człowiekiem skończonym, a przecież zrobiłem coś... i to już jest dla mnie satysfakcją za wszelki trud.

A gdyby nas było tak więcej tych... poetów... możebyśmy się prędzej doczekali tego... świtu, na który naprawdę tylko czekamy, zamiast wyjść na przeciw.

Zamyślił się chwilę, ona też zamyślona milczała. Po przerwie mówił dalej:

— Mam tylko kłopot z moimi chłopkami... nie mogę ich odzwyczaić od wódki, tej naszej plagi, ale po powrocie pomyślę i o tem, a nasz Leibe ze swoim sprytem kupieckim i całym zasobem podstępnych zabiegów o rozpajanie polskiego chłopca... wywędruje ze wsi.

Gdybyż nas było więcej... gdyby każdy chciał podjąć odrobinę trudu, żeby zaczął od siebie...

— Ale pan musi się przemęczać — wyrwało się jej pytanie, gdy popatrzyła na jego zbladłą twarz.

— Wie pani, nigdy się nie skarzę, ale czasem rzeczywiście czuję brak sił... za mało nas jest i dlatego jeden u nas musi pracować za dziesięciu, za stu. Rozmawiając nie zauważyli nawet, że zakradał się mrok i czas było wracać. Wstali i milcząc szli obok siebie.

Za chwilę żegnając się z Adamem, zapytała go Ewunia prosząco:

— Czy ja będę mogła jeszcze kiedy z panem pomówić?

— Owszem, owszem! Gdy tylko chwila się zdarzy znowu odpowiednia.

Podawała mu milcząc rękę, a przy tem spojrzała mu w głębię oczu, tak jakby w nich chciała dla siebie wyczytać wielką tajemnicę.

On zdawał się tego nie zauważyć i pochyliwszy głowę wracał do swego mieszkania.

Ewunia stała jeszcze chwilę nieruchoma, a gdy Adam zniknął za drzewami, pobięła szybko kilka kroków, jakby go chciała dogonić, potem zatrzymała się i wpatrzona w miejsce, w którym zniknął, szeptała: kocham, kocham, kocham.

Adam dostawszy się do swego pokoju, wyszukał stary brulion, w którym od kilku lat notował wrażenia, a do którego od kilku miesięcy nic nie wpisał. Dziś uczuł potrzebę wypowiedzenia przed kimś tego nawału uczuć, które mu serce wypełniły, tego niewypowiedzianego smutku, jaki go w tej chwili ogarnął. Przed kim się miał zwierzać? Przed kim? Skoro był sam na świecie! Ta biała karta była jego spowiednikiem, jej powierzał swe myśli, swe największe tajemnice.

Zapalił papierosa, ujął pióro i jął pisać słowami wrażenie chwili, głos duszy na ludzki tłumaczyć język. I płynęła z pod pióra dziwnie smutna pieśń znikającej samotnej duszy...

„Są chwile smutku w mego życia drodze, jakiegoś żalu, szalonej tęsknoty, za szczęścia chwilą dawno już przepadłą, za lat dziecinnych naiwności złudą.

Gdy w taką chwilę spojrzę poza siebie, w przybłądy obraz minionej już drogi, to jakaś skrusza w mej duszy powstaje, jakiś żal straszny mem sercem porusza, na strunach wspomnień pieśń przedcudną grając...

...pieśń, co ma siłę przepotężną, co z prochów

obrazy tworzy, ze wspomnień szczęścia buduje pałace...

Pieśń lat dziecinnych...

I płyną chwile lekko i cicho, bez szmeru mijają lata, szczęście ze sobą unosząc...

I płynie cicho fala za falą, a szczęście na niem, jak okręt z papieru, to raz na górze, to znów gdzieś tonie...

I coraz szybciej życia fale płyną, coraz gwałtowniej się tłoczą i pienią... a okręt tonie...

Utonął.

I żal serdeczny mem sercem porusza, tłumie wzruszenia, łkania, a łzy się toczą bezbarwne i gorzkie, jak tego życia smutne chwile...

A w duszy mojej jakiś głos mi szepce: jam winowajca.

Jam winowajca, bom dary żywota zatracił zdradnie na tej krótkiej drodze, bom szczęścia pączek, nim rozkwitł, zadusił... a teraz płaczę...

I płyną cicho chwile smutku, niosąc mi gorycz i żale, wspomnienia, ale w nich przytem tyle jest radości, szczęścia, pociechy i ukojenia...

#### IV.

W parę dni później Adam rozpoczął z młodym Zygmuntem Zbylitowskim lekcje. Chłopiec był sympatyczny, bardzo inteligentny, a do swego nauczyciela odnosił się z wielkiem zaufaniem, jak do starego przyjaciela. Wkrótce bardzo go polubił i nie mówił o nim inaczej, jak kochany pan Adaś. Codziennie rano zaraz po śniadaniu siadali do nauki, a lekcje przeciągały się nieraz do dwóch godzin. Tyle przeznaczono na naukę przedmiotów, potrzebnych Zygmunutowi do egzaminu szkolnego, poza tem jednak Adam z całym poświęceniem pracował nad młodym o wybitnej inteligencji chłopcem. Wyjaśniał mu dużo kwestyi, które dlań dotąd były niezrozumiałe, opowiadał mu ciekawe rzeczy z tajemnic przyrody, głównie jednakże kładł nacisk na historję Polski. Z całym zapałem wsłuchiwał się młody chłopiec w opowiadania swego nauczyciela. Z zapartym tchem słuchał o krwawych walkach nieszczęsnego narodu, z którym go przeszłość rodzinna tak silnie wiązała, o tych tytanicznych wysiłkach dla odzyskania straconej niepodległości.

I dzisiaj naprzeciw siebie siedzieli ci dwaj przyjaciele. Na polu ściemniało się gwałtownie, a deszcz siekł w okna, dziwnie smutnie o tafle szyb dzwoniąc. Burza gwałtowna nadciągała, grzmoty na chwilę nie ustawały, trzęsąc całym gmachem. Stare lipy przed pałacem zginały się, jakby na rozkaz, najdziwniejsze przybierając pozy. Całe masy złamanych gałęzi leżały pod drzewami, dziwnie smutny przedstawiając widok.

Chłopię przysunęło swoje krzeselko bliżej Adama i patrząc mu w czy słuchało. Adam zaś mówił:

„...i nie mógł już naród wytrwać w tej męce upokorzeń i upodlenia, naród, co tysiąc lat miał wspaniałe z sobą przeszłości, a przyszłość mu tak czarno się zapowiadała...

Bo lepiej zginać, niż żyć w upodleniu...

I przyszłość swą powierzył naród polski ostrzom bagnatów, które młodzieńczą pochwycone ręką w bój poszły święty...

Przyszła noc listopadowa...

Wśród ciemnej nocy ogień i dym słupem ku niebu wybucha... to znak... i walka się zaczyna... Walka nierówna, straszna, ale święta. I trwa ta walka nie rok, nie dwa, ale już przedtem zaczęta legionami, do dzisiaj się ciągnie...

I trwać ona będzie, póki serce polskie bije, krwią tętni, póki nam wolność złota nie błysnie zorzą...

Poszli w bój i ci starzy, co Napoleona pamiętali dobrze i młodzi, bardzo młodzi... krwią winy ojców zmywać, przyszłość budować świetlaną...

Polska...

Ten wyraz magiczny był hasłem i odzewem... Za Polskę, dla Polski... nie było ofiary, nie było męki, którejby naród nie zniósł...

Za oknami wieher wciąż szalał, grzmoty były coraz straszniejsze, pioruny biły, zachmurzone niebo rozświetlając oślepiającymi błyskawicami. W saloniku było prawie ciemno. Stare sprzęty ciemnego koloru jakieś kształty przybierały wysmukłe, na ściany najdziwniejsze rzucając cienie. Złocene tylko ramy obrazów, rozwieszonych po ścianach, połyskiwały... Z każdego kąta mówiła tu przeszłość żywym językiem... Z portretów przodkowie patrzyli na jasną główkę swego pra-pra wnuka... Naprzeciw siedzących wisiał portret młodego przystojnego ułana... zginał jako porucznik pod Grochowem...

Adam ciągnął dalej.

„...Porwał się do boju cały naród, cel swego wystąpienia określając jawną detronizacją cara Mikołaja. Sejm zwołany do Warszawy postanowił

uwłaszczyć włościan, darowując im ziemię, na której setki lat pracowali... Nieopisany zapał ogarnął całą Polskę, wszystkie stany — wojsko z niecierpliwością czekało chwili, w której się zetrze z armią tyra. Nie było jednakże wodza, któryby jedno czuł z narodem... Chłopi zlekka, paktował, aż wreszcie, gdy zgasła ostatnia nadzieja pokojowego załatwienia... ruszył w bój...

I odżył w nim żołnierz napoleoński, lew, co z pola walki nie ustępuje, chyba śmiertelnie raniony, zawrzała mu w żyłach polska krew bohaterów...

Grochów... niecałe pięćdziesiąt tysięcy naprzeciw siedmdziesięciu rosyjskich stanęło...

Dybic, wódz carski zasypał naszych setkami granatów... dwieście pięćdziesiąt dział siało żelazem...

Zaczął się straszny bój...

Olszyna, trzy razy wpadłszy w ręce przeważającej siły Moskali, z bagnetem w rękę została odebrana...

Uniesiony swem opowiadaniem, przejęty wspomnieniami przeszłości Adam nie wiedział, co się koło niego dzieje, nie widział nic, nie słyszał... myślami był tam... w szeregu walczących z bagnetem w rękę.

Oczy mu jasnym pałały blaskiem, twarz bładą pokryły rumieńce. Pięknym był w tej chwili... biła od niego siła i moc, wiara w przyszłość jasną... on żył...

Nie postrzegając, że drzwi się z sąsiedniego pokoju otworzyły i stanęła w nich księżniczka. Błada była... widocznie burza na jej wrażliwą naturę działała. Stała cicho przy drzwiach, wpatrzona w młodego człowieka i słuchała...

On mówił...

...Słży za ojczyznę szereg za szeregiem na pewną, chwalebłą śmierć... Zwycięstwo już było pewne... wtem wódz raniony z placu boju się usuwa... zamieszanie... i bitwa zamiast zwycięską, nierozstrzygniętą zostaje...

W tej chwili potworny huk, ciemności rozprasza straszna błyskawica i dwa pioruny, jeden za drugim, uderzyły w aleję lipową.

Księżniczka lekko wydała okrzyk przestachu.

Adam postrzegł go i skoczył ku niej. Staniała się napół zemdlna. Cała jej postać czyniła wrażenie jakby się miała bezsilnie osunąć na ziemię.

Adam bez namysłu pochwyił drżące z przestachu to cudne dziewczę w ramiona i uniósł na fotel. Drżała... Podał jej szklankę wody.

— Dziękuję panu — szepnęła i spojrzeniem swych królewskich oczu spłaciła mu tysiącrotnie dług wdzięczności.

On czuł dziwną radość na samą myśl, że tej istocie zaziemskiej mógł uczynić jakąś przysługę.

Oczy obojga spotkały się znowu i zatoneły w sobie. To była chwila poznania się dusz bratnich... Długo patrzyli na się, pojąc swe oczy widokiem wzajemnej urody.

Taka chwila daje szczęście, daje ciche zapomnienie.

Ona pierwsza przerwała to kłopotliwe milczenie.

— Przerwałam panu opowiadanie... ładnie pan mówi, bardzo ładnie! Ze wstydem muszę się przyznać, że podsłuchiwałam za drzwiami, ale wiem na pewne, że mi pan tego nie weźmie za złe...

— Nigdy! — zawołał z przejęciem, nie mogąc od jej twarzy pełnej czaru oderwać oczu.

— Wie pan, że słuchałam z ogromną ciekawością pańskiej opowieści, bo tę część historii tak mało znam... a piękna...

Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, to zostałabym uczenicą pana. Przychodziłabym na pańskie wykłady — rzekła uśmiechając się i patrząc mu w oczy.

Ale jego spojrzenie było tak gorące, że czerwieniąc się, wzrok skierowała ku ziemi. Chcąc ukryć swe zakłopotanie spytała.

— A Zygmuś się zgodzi, żebym się razem z nim przysłuchiwała wykładom pana Drzemirskiego?

— Dobrze, proszę cię bardzo, siostrzyczko — odrzekł chłopczyk i zbliżywszy się do siostry, ucałował ją w usta, a ona go wzięła w swe białe rączki i okrywała całą twarz pocałunkami.

Potem spojrzała na Adama, a on z jednakiem uwielbieniem patrzył na nią.

Była mu wdzięczną. Wiedziała, że jest piękną i wpływ swego czaru odczuwała. Lubiła być kochaną i była pewną, że ten młody marzyciel jest w niej na zabój zakochany. Podobał się jej...

W jego oczach czytała wyraźnie:

„Czemuż nie jestem tym małym Zygmuśkiem? Czemuż nie mogę mych ust w tych utopić ustach i stopić ich żarem mych pocałunków?“

A jego oczy mówiły dalej:

„Litości! litości! okaż okruszynkę, mnie niewolnikowi, bo ja cię kocham, kocham nad życie!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)